

Nr 4.

PONIEDZIAŁEK.

DZIA 1 LIPCA 1839.

Przedpłata na 12 pół-
kuszów wynosi we Fran-
cyi fr. 5, za granicą zlot.
pols. 12.



PSZONKA wychodzi raz
na miesiąc, to jest: 1°
każdego miesiąca.

Zgłaszać się do wyda-
wcy (franco) pod adresem
M^r Pszonka, Polonais,
au café du Miroir, à
Strasbourg (Bas-Rhin).

PSZONKA.

BABIN TRYUMFUJĄCY

CZYLI

OSTATNI CHŁOP W POLSCE.

Gdy wrócimy do Polski, natenczas rozwija-
jając główną myśl ustawy 3^{go} maja, będziemy
tylko exekutorami testamentu, którym naród
w sejmie czteroletnim sam siebie reorganizo-
wał przed śmiercią. Kardynałne dyspozycje te-
go testamentu są takie, ażeby cała Polska w po-
przek i na podług była wybrukowana herbami,
i cała, jak niegdyś Szkocya, pokryta jedną
ośłą skórą, jednym szlacheckim dyplomatem.

Słowa wyjęte z ewangelii M. MOCHNACKIEGO.



DJECIEC mój był chłopem z Krakowskiego,
gorąco kochał Polskę i mnie toż samo uczu-
cie wszczepił od dzieciństwa, a dawszy do
szkół, gdzie się trochę poduczył, rzekł:
Weź karabin, a ujdiesz niewoli poddań-
stwa. Uczyniłem co chciał; służyłem pod
Konstantym, walczyłem w rewolucyi, po-
szedłem do Francyi, z tamąd z Zaliwskimz nowu do Polski,
a z Polski na Sybir. Opatrzność zachowała mię od knutów lub
stryczka.

Na posileniu wyznaczono mi kawał ziemi i kazano strzelać
sobole; zbudowałem jurt i wiodłem życie pastersko-myśliw-
skie.

W sąsiedniej hordzie Ostyaków był szaman, starzec wieku
Melchizedecha; polubił mię, przybrał za syna, i nauczył żyć
długo, a najbardziej pocziwie.

Po jego śmierci horda obrała mię swoim naczelnikiem.
Moje rządy były, że użyję słów cara Mikołaja, przedłużeniem
rządów nieboszczyka. Posiadając jego sztukę rządzenia, a na-
de wszystko tajemnicę przedłużania żywota, władałem tym
ludem z górą sto dwadzieścia zim. Jednostajność wypadków
w mojem państwie lodowem tak niczem niebyła zakłócona,
że tylko jaka gwałtowna zmiana w powietrzu stanowiła w na-

ODDZIAŁ I.

szych kronikach nowy okres; dla tegoteż czas ten przeleciał
mi daleko rącej i weselęj niż innym (jak sobie przypominam)
europejskim królom dzień jeden.

Z ojczyzny mojej żadne niedochodziły wieści, przestałem
nawet tęsknić za nią, odkąd silniejsze uczucia i obowiązki
związały mię z nowym narodem; czasami tylko brała cieka-
wość: co też się stało z biedną naszą Polską? jak i kiedy tu-
laczce wrócili? czy Moskale pobito i z granic wyparto? jakie
tam rządy? czy lud wolny i równy? czy tyle poniesionych
ofiar odrodziło tę ziemię? Od sąsiadujących z nami Moskali
niepodobnaż było czego się dowiedzieć, bośmy uciekali od
nich jak od dżumy, przegradzając się nieprzebytymi lasy i
wielkimi stepy, i tylko czasu płacenia im daniny ze skór mie-
waliśmy chwilową styczność. Co zaś do rodaków moich,
osiedlonych na Sybirze, trudno było co powzjąć; nowi nie-
przybywali, a o dawniejszych mieszkańcach tylko przez trady-
cję opowiadali, pokazując łańcuchy i kości.

Przeżywszy już tak trzy pokolenia, pewnego razu, gdy
siedział przed swoim jurtem i rozmyślał nad tém, co stanowi
szczęśliwość narodu, postrzegłem kilku pasterzy wiodących
człowieka w osobliwszem ubraniu. Stawionego przede mną
zapytałem: Co za jeden? Odrzekł: Posel carski. Po co przy-
chodzi? Z ulaskawieniem dla *miateżników* Lachów; dwa bo-
wiem cary: polski i moskiewski pogodzili się, i w skutek
długich dyplomatycznych układów zastrzegli między innymi
warunek uwolnienia Lachów zasłanych na *posilenie*. Jeżeli
zatem są jacy, mogą wracać; car wspaniałomyślny z własnej
kaszni daje po dwie kopiejki na strawne i *podorożne*.

Odprawiwszy posła, pomyślałem: rychło w czas opamiętali
się, wolność zwiastując kościom wybielałym od mrozów, i
półtorasto-letniemu starcowi, z brodą i głową bielszą od
świeżo upadłych śniegów. Cóżto za Polska być musi? jaki
to car nią włada? I uczucia do rodzinnej ziemi, które myśla-
łem, że na wieki już zgasły w tych śniegach, podrażnione cie-
kawością, uwiedzione wyrazem uprawnionej wolności (choć
byłem wolnym wśród wolnych), zaczęły wręć w starej mej pier-
si, mierzyć drogę do Polski, witać jej ukwiecone łąki, psze-
niczne łany, pieścić krakowskich chłopków, kościołek wiej-
ski, gdzie przy dźwięku organów tak się serdecznie modliło...

Cała przeszłość jakby wczorajsza głośno zakolatała do serca, niby potępieniec, co ci niedaje spoczynku, dopóki nie zrobisz coś dla jego zbawienia. Rozmyślałem się. Wyraz ojczyzna zagłuszył sto dwudziestoletnie błogosławieństwo moich Ostyaków. Wróć do kraju!

Zwołać horde, wskazać godnego po sobie następcę, rozstać się ze łzami, wsiąść w kibitkę i pędzić, pędzić wciąż w zielenie coraz ziemi, oto wszystko co półtorawieczny starzec zrobił, dla pokrycia przynajmniej swych gości ziemią proszowską.

Feldjeger, który mi towarzyszył w przejeździe przez carsstwo moskiewskie, bronił mówić, tłumacząc, gdy pytałem o przyczynę, że ja stary *miateżnik* zbuntowałbym poddanych gosudarowi; dla tegoż ciekawości nigdzie nie mogłem zasпоkoić. Lecz kiedyśmy przybyli nad Dniepr, uradowała się dusza moja: na drugim brzegu uściskam cię ziemi ojców moich. Przeprowadzamy się, a ja z radośnym okrzykiem: Teraz mić puszcz, bo tu Polska! *Pastoj! eto wsio carskie!* Wszystko jak wszystko! ożwał się z uraza jakiś z kozacka ubrany jegomość, narzeczem maloruskim, przyprowadzonem do wykwinności *Eneidy nicowaněj Kotlarskiego*, a obracając się do mnie: Wy zamorski człecz, nieznacie zapewne naszej historii, dowiedzieć się więc, iż to jest w. księ. ruskie z księciem udzielnym pod gwarancją cara moskiewskiego, podobnie jak w. księ. litewskie; wszystko to stało się w skutek dyplomatycznych układów króla Lechii, niechającego naruszać naszych narodowości prowincjonalnych.

— A gdzie się Polska zaczyna?

— O ho! ho! daleko. Za Sanem macie dopiero królestwo Lechii, Lechii, powtarzam, wyraz bowiem Polska, dziś jest bez znaczenia.

— Jako! zawolałem, więc ta jedność polityczna, łącząca od wieków te ludy pod godłem wolności?...

— Zerwana! odrzekł z dumą mój Rusin, zerwana! dzięki wielkiej myśli rzuconej przed sto kilkadziesiąt laty w *Komitecie ziem litewskich i ruskich*. Dzisiaj tworzymy osobny naród, mamy swojego księcia, swój dwór, swoją literaturę, swoje sztuki piękne, historię, teatr.

— A swobodę macie?

— Pst! — i położył palec na ustach: widzę szpiega jak milczkiem czai się ku nam...

— Uciekajmy! jedźmy! krzyknąłem na mego przystawę; i tu raz pierwszy od wyjazdu zażęknąłem z moim Sybirem.

Toż owe pomysły wyrabiane na naszym tulaństwie, toż owa wiara w wolność i braterstwo ludów, toż owa żądza reformy przemawiająca równie przez najmędrze jak najgłupsze głowy, toż tyle krwi, tyle łez męczeńskich wylanych przez naród rozpięty na krzyżu, przesunąćby się miały jak grzmieca chmura, co niepuszczi deszczu na spragnioną rolę? A przecież pomnę, co ówczesni filozofowie mawiali: ludzie, narody giną — pomysły nigdy. Nie, nie, być niemożę, oddalenie fałszuje ci przedmioty; tyś stary, zdziczały na stepie, widzisz same cienie i zarysy, barw niepoznajesz. A jako z jednego kwiatu słodycz i trucizna, tak z jednego serca smutek i pociecha tryska. Pociaszylem się jak mogłem, wzbraniając sobie wszelkich przedwczesnych reflexyj, i w takim usposobieniu stanąłem na granicy tak zwanęj Lechii.

Ogromny orzeł biały, lecz z niezmiernie rzadkimi piórami, niby gęś podskubana, powitał mię ze szczytu komory celnej. Rój strażników otaczał mię, zapytując o paszport, o zakazane towary; mierzą, zazięrają w oczy, świdrują łómkami; w końcu zapytują z urzędową powagą: azali nieprzemycam zakazanych broszur?

— Zakazanych broszur?! Toż jeszcze mogą być zakazane broszury? Wszakże wolność druku?...

— Widać, że jegomość gdzieś z Czerkiesy przybywa, zawołano ze śmiechem, i przetrząsano manatki.

— Zdziwiony, przysuwam się do jednego z obojętnych widzów i zapytuję: jakiego mogą być broszury?

— Dorozumiewam się, żeś W. Pan Dobrodzień albo z daleka bardzo przybył, albo grasz franta. Odpowiedzieć jednakże mam sobie za obowiązek, wnosząc z miny, żeś nie dzisiejszy ale starodawny jak ja szlachcie; dowiesz się więc, że broszury, tak starannie przez rząd poszukiwane, drukują się w rzezypospolitej czerkieskiej; tam bowiem schroniła się cała

emigracja moskiewska po upadku rewolucji petersburskiej, i naszych malkontentów tam niemało.

— Rewolucja petersburska! Rzeczpospolita czerkieska! Więcej nie mogłem wymówić, uderzony taką nowością zdarzeń, i stałem w osłupieniu, gdy w tém jeden z urzędników zbliżył się, rozwinął papier i ogłosił w imieniu Najjaśniejszego z bożej łaski, szczęśliwie nam panującego Adama IV^{go}...

— Adama IV^{go}? Ha! ha! ha! czysta komedia! czy to nie ja ki prawnuk księcia Adama?...

— Mospanie! krzyknął piorunująco urzędnik, drwinki z monarchy! *crimen lese majestatis!* Modlin! Zamość! Częstochowa! fortece i kryminaly! czy wiesz, czém to pachnie?

Zmówilem na niewiadomośc, i starość; on zaś wolniejszym nieco tonem oświadczył, że pod ścisłą eskortą mam być dostawiony do stolicy królestwa.

— Pod eskortą? wszakżem ja tu po wolność przyjechałem... odpowiedziałem protestując.

— Patrzcie-no czego się chce staremu? a potem, przystępując do mnie, i kładąc jak łopatą w głowę: Staruszu! widać dawne pamiętacie czasy, dziś inaczej; dziś najwyższa wolność upersonifikowana jest w monarsze; kto bliżej niego, więcej jej posiada; kto dalej, mniej. Niech to wam służy za radę i przestroję. Bywajcie zdrowi! Ruszaj! krzyknął. Porwano mię; usiadło dwóch żołnierzy z gwardji wolności i porządku, tak bowiem przezwano dawniejszych zandarmów, i wózek potoczył się ku Warszawie.

W ciągu drogi, wiodącej przez znane mi dawniej okolice, dostrzegłem wielkie odmiany, nie żeby pola były staranniej uprawne, wsie lepiej zabudowane, gęściej osiadłe, lud weselszy, czerstwiejszy i lepiej okryty niż za moich czasów; przeciwnie, obszary gruntów stały odłogiem, miasto wiosek szalasy lub budy garnące się pod mury spaniałych dworów, a lud bosy, obdarty i wychudły, ale z wyrazem jakiegoś głupiej dumy parzył się na słońcu, jak włoskie lazarony. Za to ze wzgórz połykały dachy wież zamkowych, miłowe ciągnęły się parki, zwierzyńce, stawy, wodociągi. Minałes to siedlisko pańskości i zbytku, zaczynała się kraina śmierci jak kampanie około Rzymu.

— O boże! zawolałem, jakieżto pomysł rozwinął tę cywilizację, jakiego rodzaju postęp przodkuje tój społeczności?! Ale, postanowiwszy sobie unikać wszelkich uwag, patrzyłem ciekawie, iście by dziecko, co się dopiero narodzi, czekając póki mię albo kto nie objaśni, albo sam zagadki nierozwiążę.

— Otóż i Warszawa! wykrzyknęli moi towarzysze, kiedyśmy wyjeżdżali z nieśmiertelnych piasków Jezieru. Zelektryzowały mię te słowa, stanąłem na półdrabku mojego wozu, i, pół zdziwiony pół rozplakany, ujrzałem przed sobą ogromne wieże, obeliski, gmachy zameczyste; na pierwszy rzut oka zdawało mi się, że to miasto, dziecięciem zostawione przeze mnie, urosło teraz w olbrzyma; ale za to jakże zszeszuplało, bo przypominając sobie miejsce rogatki willanowskich, gdzieś za Konstantego chodził na wartę, postrzegłem, że dzisiejsza brama o dobrych parę stająg cofnęła się ku miastu.

Po zwykłej ceremonii przy rogatkach: zkad? jak? po co? jechaliśmy wprost do królewskiego zamku, bo taki był rozkaz. W przejeździe przez ulice najgłębsza panowała cisza; jeżeliś spotkał, to osoby wykwinnie ubrane, i łachmany nędzarza szukającego cienia pod jaką wystawą. Omnibusów, dyliżansów niewiadać; za to brązowane pojazdy ogalonowanėj libery i laufrów, lub lektyki na barkach Murzynów. Owego ulicznego gwaru, natłoku, psotnych pauprów, kłótliwych przekupek i walecznych szewczyków, już ani zoczyć. Uderzyło mię także, iż wszystkie domy szły pod linię, jedną prawie struktury, a wiele, czyto dla oka, lub symetrii, składało się tylko z naczelnego muru, ze ślepymi oknami. Przysłowie mówi: *Pozory mylą*, ale tu wszystko tchnęło taką prawdą pozorów, że zaczął wątpić o dobroci moich zmysłów. Zgola, gdybym był niewiedział, że to Warszawa, ta sama Warszawa, co tyle odegrała rewolucyj, nigdy byłbym się do niej nieprzyznał, bo ledwie w placach publicznych ślad jakikolwiek pozostał; kolumna nawet Zygmunta poskoczyła wyżej o kilkadziesiąt lokci, a to przez dodanie ogromnej z jednego głazu podstawy, ozdobionej płaskorzeźbą, na której zdaleka postrzegłem obok zbroi i buzdynów hetmańskich eme Jezuitów.

Wjeżdżamy do zamku; o kóżby go poznać?! jaki ogrom! kilkadziesiąt kolumn biegnie ku Wiśle, kilkadziesiąt ku staremu miastu; gmach ś. Jana wygląda przy tym Watykanie jak domurowana kapliczka. Przechodzimy jedną bramę, przechodzimy drugą, i trzecią, ogromne dziedzińce, a wszędzie gwardye z halabardami szwargoczące z niemiecką, to Mamelucy z turecką; a wszędzie chmura lokai, laurów, hajduków, Murzynów, karłów. A co krok, to melduj się, i daj się przetrząsać, czy nie masz zabójczego narzędzia. Nakoniec po długich ceregielach dostaliśmy się do wielkiego przedsionka. Tam już sami szambelanie, mistrze ceremonii, kamerjunki, paze. Napociwszy się raz z nudów, drugi, że mię jak roroga oglądali, zostałem nakoniec uwiadomiony o wielkim zaszczyście stawienia się przed obliczem Najjaśniejszego Pana. Rozśmiałem się w duchu, niemając nigdy królów za coś więcej, jak kozia pentelkę; toteż najmniej frasowałem się, podczas, kiedy panowie dworscy składali walną radę, czy mam być przedstawiony w moim sybirskim kaftanie podbitym sobolami, z moją po pas brodą, czy wyfrakowany, ogolony, i w upudrowanej peruce; po długim *pro i contra* stanęło, że tą razą można od etykiety odstąpić.

Przebywszy kilka sal wspanialszych jedno nad drugie, znowu zatrzymaliśmy się, gdy w tém wyszło z pobocznego gabinetu kilku uhaftowanych panów i dwóch duchownych. Oko moje odgadło zaraz synów Lojoli, chociaż dziś nie na dwóch ramionach, ale na jednym nosili płaszczyk, co miało być znamieniem ugrunтовanej władzy zakonu. Ci, otoczywszy mnie, obsypywali zapytaniami, na które wszakże odpowiadałem z trudnością, gdyż język ich, z brzmienia niby polski, tak był nastrojony to francuszczyzną, to łaciną, że dawniejsze makaronizmy bładły przy tej pstrokatą mowie. Między innemi pytaniami zagadnięto o herb. Odrzekłem: moje herby na piersiach! które odkrywszy, policzyłem rany odebrane w rewolucyi.

—Więc jesteś chłop?

—Z dziada, pradziada, i to krakowski.

—Chłop! chłop! krzyknęli wszyscy, i zaczęli się zbiegać jak na dziwowisko.

—Ostatni chłop polski!

—Jaka radość dla Najjaśniejszego Pana!

—Ministrowie byli już w kłopotcie, czém sejm zabawić, który od rana do wieczora ziewa, odkąd wyszedł ukaz kasujący opozycję; a teraz wyborna gratka się trafia.

—Debaty nabiorą ogromnego interesu.

—W rzeczy samą poszlacheiwszy nawet Cyganów doszliśmy do kolumn herkulesowych postępu.

—O nieporównany staruszk! niebo użyczyło ci długich dni, abyś nas z ogromnego kłopotu wybawił.

Wielcy ci dygnitarze ledwo że mię nienosili na rękach; jedni obiecywali protekcję, drudzy urząd dochodny, inni zapraszali na wieczory, obiady. Niebyłoby tym oświadczeniem końca, gdyby nie przybycie szambelana z wezwaniem do króla. Otwarto podwoje; wszedłem do zaciemnionej komnaty, mistrz ceremonii kazał mi oddać kilkanaście pokłonów przed jakąś pękatą figurą w szlafroku, z zaspanemi oczyma, choć już dobrze było z południa. Był to sam monarcha. Powierzchność jego wcale mi nieprzypadła do gustu, niezmiernie bowiem otyły, cera jak nalana, oczy mdłe, siwawe; zawinięty w szlafroku nieruszał się, ale jeździł w krześle na kółkach. Około niego kręciło się kilka bardzo pięknych pań, niby pierwszych ministrów, które, wraz z dwoma Jezuitymi, tłumaczyły mu rzecz każdą i zgadywały jego rozkazy lub odpowiedzi. Za moim pojawieniem się ten to, ten ówo, zaczął mu prawić o mnie; widać, że coś go ucieszyło, bo z uśmiechem, podobnym więcej do skrzywienia się, powiedział: Pokażcie! Kazano mi się zbliżyć. Prześlizgną starość! zawołał, módlcie się księżu kapelanie, abym i ja takięj doczekał! Taki był koniec audyencji, a ja gniewny trukiłem pod nosem: Zkąd wyrwaliście takie nieme diable?

Zgłodniały i zmęczony przeklinałem w duchu, i mówiłem: Jak się teraz obróć? Ale kilku z dworskich, postrzegłszy moją kwaśną minę, przybiegło z pocieszeniem, iż będę podejmowany kosztłem Najjaśniejszego Pana aż do chwili pasowania mię szlachciem, co miało nazajutrz nastąpić; o dalszym zaś moim losie, mówił ów pocieszyciel, pomyśli To-

warzystwo dam dobroczynności, które dla wszystkich ubogich z największym poświęceniem się wybiera składki — między ubogimi, a nawet czasem niezałuje i fatygi tańcu, i wystąpienia na amatorskim teatrze, za pieniądze ubogich dla ubogich; jednym słowem, towarzystwo to słynęło w całym kraju ze swoich szczerobliwości, po wszystkich gazetach i żurnalach.

Udałem się więc do wskazaną kwatery, gdzie wypocząwszy i podjadłszy z pańskiego stołu, zacząłem przemyślać jakby tu zwiedzić osobliwości tej Warszawy, a razem tyle ciemnych dla mnie zagadek rozwikłać; gdy wtém jakiś młodzieniec pociągający powierzchowności, lecz w wyrazach mający coś wschodniego, wszedł, i z uniesieniem, rzucając się w moje ręce, ścisnął je, całował konce szaty i mówił: że to jest najpamiętniejszy dzień jego życia.

Z rozrzwinięciem, z natężoną ciekawością dziecka, co słucha bajek piastunki, on słuchał moich opowiadań; w wyrazie oczu jego wyczytać było, jak wspomnienia epoki, wróżącej niegdyś taką przyszłość narodowi, jak charaktery, poświęcenie, działających w ówczas osób, malowane przeze mnie, naoczego świadka, rozczulały serce i rozpalaly jego wyobraźnię.

—Synu! synu! wołałem, polską masz duszę; ty niepowitalęś zdziwieniem i oziębłością starca-upiory, który, ciężarny jeszcze wielkimi myślami przeszłości, zabłądził między to plemię poronice!

—Bękart! przeklęty bękart, tylu nadziei, tylu wysiłen, tylu męczeństw! i zwiesił głowę na piersi; niebo dziś niema ognistego deszczu Sodomy!

—I jakżeż to wszystko się stało? zawołałem, przerywając bolesne milczenie. Opowiedz jak nasi tułaczę wrócili?

—Jak wrócili? jedni jak mogli, drudzy jak chcieli, a inni nigdy nieujrzeli już swojego nieba.

—Czy podobna?! więc część amnestye przyjęła?

—Gorzej! — z dzisiejszych historyków prawdy się niedowiesz; wszakże com słyszał z ust nieboszczyka ojca, który w młodości swęj znał pewnego starca pamiętającego owe czasy, powtórzę ci szanowny ojcie. Wiecie zapewne, jak emigracya z 1830 r. na obcej ziemi przygotowywała przyszłą reformę Polski, i jak jedni chcieli ją wskrzesić przez stary porządek, drudzy przez nowy, inni jeszcze przez nieporządek; ale wszyscy — z dobytą szablą i z gotowością przelania do ostatniej krwi kropli za nią. Opatrzność zrzadziła inaczej; zapisało kilkanaście liber papieru, i na dyplomatycznej drodze, w kalamarzu, odbyła się rewolucyjna burza.

—Jako? więc gabinety rozstrzygnęły tę żywotną kwestyę narodu?

—Niestety! kiedy Moskwa kusi się zająć Stambuł, Anglik i Austriak forytują na tron jednego księcia z Jagiellów; Moskal, nie łatwy do puszczania raz ujętęj zdobyczy, gotuje wojnę; lecz pretendent, któremu się panować nie wojować chciało, wchodzi w układy, przymierza, traktaty, i poświęca Ruś i Litwę.

—O nieba! więc dla zapewnienia sobie tronu rozerwać jedność!

—Dobrze, żeśmy i tyle utargowali; bo książę gotów był przystać na takiem królestwie, jak jego kapelus.

—A cóż na to ta młodzież pełna poświęcenia, wiary w postęp?...

—O demokracji mówicie? smutny jęj koniec! Nowy król, nie lepszy od cara, wzbronil im powrotu; rozproszeni po świecie nigdy nieujrzeli ziemi obiecanej; sami tylko *Maiści* wrócili.

—Maiści? ! Coż to za zwierze?

—Tak zwano stronników konstytucyi 3^{go} maja.

—Tę konstytucyi, co tak mało swobód zapewniła ludowi?.. Mój boże!...

—Tę samą. Owoż na czele takich partyzantów zjawił się król Adam I zwany *restauratorem*. Szarańcza ta rzuciła się zaraz na wszystkie urzędy, sinekury, starostwa, a nowy rząd zaczął tęp oczu mydlieć, że rozwija zasadę konstytucyi, a to przez uszlachcenie mieszczan i chłopów.

—A grunta oddanoż im na własność?

—To inna kategoria; ustawa mówi li o uszlachceniu, to też jak zaczęto co sejmu pasować na rycerzy biednych chłopów, a z nadaniem herbu odbierać grunt pańszczyzniany, który, jak dowodzono historycznie i filozoficznie, był własnością

dziedziczna panów, tak cała nowa szlachta, z kordem a boso, musiała pójść na żebry. Niedosć więc, że ich pozbawiono całej isicizny, ale nadto wszczepiono dumę herbowną, a z nią lenistwo i gnusność.

— Coż za szaleństwo! któż teraz grunta obrabia właścicielom ziemi?

— Ta sama szlachta, za nędzną płacę; panowie bowiem wzięli się za ręce i ustanowili taryfę. Zład, chociaż ludność coraz się zmniejsza, a grunta niegdyś uprawne zamieniają się w stepy, panom jeszcze dość zostaje na zbytki i fantazyje.

— A fabryki? a handel?

— Fabryki?! wszystkiego dostarcza zagranica, bo tylko klasa magnatów ma na to pieniądze; co zaś do handlu, ten znieważając klejnot szlachecki utrzymuje się, jak dawniej, w ręku Izraelitów, którzy ofiarowanego sobie szacunku szlachectwa przyjąć niechcieli.

— Coż to, że ich niepostrzegam wcale na ulicach? czy może osobne miasto?...

— Bynajmniej; wszędzie ich pełno; zgolili tylko brody, porzucili przesady religijne, wyrobili pojęcia najdemokratyczniejsze, słowem są jedynymi reprezentantami cywilizacji w Polsce.

— Żydzi?! których my tak wieszali za szpiegostwo, za?...

— Dziś liczą się do najgorliwszych patriotów; dowodem tego usiłowania do obalenia dzisiejszego rządu, które wszakże nieudały się...

— Stary! stary! nie lepij ci było w twoich łodach umierać w niewiadomości, niż naraz wychylać cały kielich goryczy! tak mówilem bijąc się w głowę, z której, zdawało się, że resztki włosów opadną, tak ją zgryzliwie skołatały myśli. Ale chodźmy, chcę jeszcze widzieć ten owoc nieprawości, tę formę szlacheckiego rozumu, niech się miarka domierzy; młodzieńcze! prowadź i tłumacz.

— Wejdzim do tego kościoła?

— Dobrze, wszelki początek od boga. Jakieżto gmach niezmierny! Czy nowy Eskurial?

— To jezuickie kolegium.

Kościół otwarty—wchodzim, nieszpory, ksiądz na ambonie. O czém on prawi? Słuchajmy. Text z ewangelii: *Oddajcie bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie.*— Taż sama śpiewka od wieków! tylko w rozumowaniu czy większa bezczelność czy bystrość, bo teolog dowodzi: że gdy wszystko idzie od boga, i od cesarza, więc to, co jest przeciw bogu czyli kościołowi, a cesarzowi czyli królowi i panom, powinno ulegać karze. Jakież tę karę wymierzyć, gdy zwierzchność nie jest wszystko wiedząca?—oto przez denuncyację. Ależ nie jednego wstrzyma przyjaźń, związki krwi, przywiązanie między rodzinami a dziećmi, i nawzajem?—Teolog ciężar ten zdejmując sumienia przez powszechną absolucję dla szpiegów.

— Uciekajmy! zawolałem, tam już sklepienie się wali nad bezbożnemi głowami.

Ujrawszy się na placu pod gołym niebem, odetchnąłem; bo widok nieba zawsze, kiedy fanatyzm rzucił błotem na moją duszę, obmywał ją i pokrzepiał.

Lecz gdzie mój przewodnik? szukam go, aż oto, widzę, uciiera się przed kościołem ze zgraja dziadów i zaków kościelnych.

— Łapaj, łapaj, to heretyk! krzyczą baby.

— Kacierz! nieprzeżegnał się wodą święconą.

— Co? nieprzeżegnał? potępienie wieczne!

— Wykup się albo cię w mak rozrąbię! krzyczeli dziady, porzucając swoje szczudła i kostury, a biorąc się do szabel.

— Wykup się! bo zaskarzam cię do ś. inkwizycji!

— Ależ moi przyjaciele!...

— Patrzcie go,—jaki mi do przyjaźni! goły jak palec, i chce się bratać z nami szlachtą!

— Wierzcie mi, tylko przez zapomnienie...

— Piękne zapomnienie obrażać kościół święty!... Nic z tych wykrętów, dawaj talara, albo!...

I znowu posunęli się ku niemu wywijając szablami. Widząc go w takiej tarapacie, jużem się przybliżył, aby go powagą starości zastawić, ale on, postrzegłszy to moje poruszenie, dobył czém prędzej sztukę monety i cisnął ją między żebraków, istną kość niezgody, bo, gdy się bili o nią do upadłego, on tymczasem przypadł do mnie.

— Otoż to są ledwo nie codzienne sceny. Cała ta zgraja, katechizowana przez Jezuitów, gotowa cię żywcem spalić za najdrobniejsze uchybienie...

— Czy podobna, aby rząd pozwolił takiej tłuszczy używać broni?... Mówilem pełen podziwu, — istny miecz w ręku szalonego.

— Z téj strony najmniej niebezpieczeństwa; są to szable drewniane.

— I na jakąż pamiątkę?

— Przywilej szlachectwa i nic więcej; rząd jednak podejrzliwy, obawiając się kiedykolwiek jakiego ruchu, zabronił im noszenia żelaza. Z téj małej próbki bierzcie miarę o wszystkim; wszędzie tylko pozór i błaha forma: dla wyższych najwybredniejsza etykieta, dla gminu najgrubsze przesady. Przyznaj starszku, żeśmy przez lat sto z górą niepróżnowali!

— Galopujący postęp! ale cóżto za posąg nad nami? zagadłem, powstając z kamiennych wschodów podstawy, gdzie wypoczywał; jeśli mię pamięć niemyli, niegdyś stał tu Kopernik—a ten gmach naprzeciwnie, to pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk?

— *Est locus*, miejsce tożsame, w przedmiotach tylko różnica. Torwaldsonski ów posąg naszego astronoma relegowany został do muzeum starożytności, z powodu, że Jezuiti uznali za obrażę religii stawiać publicznie posąg człowiekowi, który swemi odkryciami zadał fałsz księgom *Genesis*.

— I któż go zastąpił? czy jakiś nowy Kolumb? czy może jakiś Watt? czy który z owych demokratycznych męczenników, co szli na śmierć jak na gody?

— Przypatrzcie się mu dobrze, może poznacie, jeśli rysy pamięć wam dochowała?

— Co widzę?! ksiądz? znajomy gdzieś proboszcz! lecz te biskupie szaty? i ta twarz wcale coś niepatrzy na wielkiego człowieka...

— Ha! ha! ha! jesteście, jesteście na tropie. Cóż niepoznajecie? przecież to ksiądz Praniewicz! bard królewski; w restauracji prymas, musieliście go znać na tułactwie?

— Pamiętam! pamiętam nawet te jego wiersze, coto Białowieżska puszcza, wyluszcza!... O dziwne koleje losu! A też inne figury na podstawie?

— To jedna i taż sama kategoria: dziennikarze, pieczeniarze, dworacy, posłowie, sztabowcy, co wierni byli do śmierci Najjaśniejszemu Panu; znaleźli tu swój westminster.

— Proszę! Niechże kto posadzi wielkich panów o niewdzięczność.

Kiedy tak rozmawiamy to o tém, lub o owém, uwagę moją ściągają mnóstwo karet i lektyk zatrzymujących się przed wystawą pałacu.

— Jakież to zjazd? pytam, sami orderowi!

— Dziś Towarzystwo Przyjaciół Nauk odbywa posiedzenie, a to są światła narodu.

— Prowadź mię! ciekawym naszęj literatury! kto tam Mickiewicza zastąpił? kto prozę Mochnackiego? kto Lelewela w historii?

— Cierpliwości! rzekł mój przewodnik z dwuznacznym niby uśmiechem, za kilka minut usłyszycie naszych koryfeów.

Po długich klanianiach się, bieganiu od Sasa do lasa, dostaliśmy przecie bilety do wnijścia, przez wzgląd na moją rzadką facjatę.

Gdyśmy weszli do ogromnej sali, ozdobionej w herby i posagi jakichś uczonych, o których nigdy niesłyszałem w życiu, zaimponowały mi na pierwszy rzut oka twarze kilkudziesięciu mędrców, w piętrzystych perukach, pokrywających rozumne ich czaszki; podszedłszy jednak bliżej przekonałem się, że ich ascetyczna chudota więcej w zbytkowym życiu niż w niedospianych nocach nad książką, lub w walkach geniuszu z nędzą, miała swe źródło.

Prezes Nestor literatury, górnołotnym językiem, naszpikowanym makaronizmami, kreślił mozoły towarzystwa w poszukiwaniu i sprowadzaniu starożytności egipskich, z czego wielkie dla narodu rokował korzyści. Następnie zabierali głos różni członkowie, czytając swoje rozprawy; między wieloma doktor medycyny pan X. dowiódł praktycznie za pomocą wiadomości lekarskich o istnieniu upiórów, za co wielkie oklaski otrzymał od obecnych księży Jezuitów. Chemik Z. wykrywa sposób robienia złota i stapiania dyamentów. Inny zno-

wu, praktyczny psycholog, podaje sposób odgadnięcia z nazwiska, przydomku i herbu skłonności duszy i serca, dowodząc, iż te znamiona daleko są pewniejsze niż wypukłości czaszki. Inny nakoniec deklamuje ustępy z poematu w 150 pieśniach pod tytułem: *Nova Jagiellonida*.

Harmonia tych oktaw tassowych tak mię oczarowała, że sam sobie w kącie porządnie zachrapał, co postrzegłszy mój przewodnik, pociągnął za rękaw i rzekł: Zmiłuj się, co robisz! Zgubionyś, gdyby cię postrzegli; pewnego, co śmiał zasnąć w czasie posiedzenia, skazano na długoletnie więzienie; ci uczeni niezmiernie są obrażliwi.

— Coż poczniesz?

— Wynieśmy się najlepiej do kawiarni.

— Wyśmienita rada! za jednym zachodem przeczytam wasze dzienniki, posłyszycie polityków.

— Oj! oj! widać staruszkę, że dawne czasy niewywietrzały wam z głowy.

— Alboż co?

— Oto jesteśmy, przekonacie się sami.

Wchodzimy do przepysznego salonu, ściany ze zwierciadeł, kobierce tureckie, do koła sof, w środku wytryska fontanna dla chłodu, Murzyni w miękkich mesztach kręcą się jak cienie i roznoszą szербety, lulki, kawę czarną, a kilkunastu młodzieży z nogami na krzyż założonymi, z wybladłym licem, omdłością w członkach, zdaje się dumać, lub marzyć, bo oczy ich przymknięte tylko czasem się otwierają, kiedy kawę lub szербet przyjdzie wychylić, lulki zażądać lub porcyi opium. Dowiedziałem się bowiem z wielkim podziwem, że teryaków namnożyło się tu jak w Chinach, i że kontrabanda na opium nie jest tu na mniejszą stopę uorganizowana jak w państwie niebieskiem.

— Taka piękna młodzież, zawolałem, w cóżto się obraca!

— Dla słabych dusz, a czujących, jedyne lekarstwo! ten środek wprawia ich w stan extatyczny; niemając dość siły walczyć z przeciwnościami, karmią się wyszukanym złudzeniem.

— Mój boże! z takiego czerstwego, zahartowanego narodu cóż to się stało!

Na ten mój wykrzyk wielu z obecnych zwróciło z nieukontentowaniem swój wzrok na mnie, a po chwili przyszedł gospodarz Turek, i prosił, abym hałasu niewszczynał.

Zamilkłem też jak ryba, i tylko kiedy niekiedy szeptałem na ucho z moim przewodnikiem.

— Więc tu nigdy nierozmawiają o polityce?

— O polityce?! taka rozmowa oddawna jest wyklętą, a nawet nieradziłbym w nią wdawać się nikomu, bo tu wszystko ma uszy.

— Przecież rozmawiać musi być wolno o tém, co dzienniki krajowe głoszą, a nie bez tego, by nie zawierały doniesień z zagranicy, krajowych wypadków, rozporządzeń rządu, rozpraw sejmowych?

— Mamy to, mamy; ale wszystko, co dostarcza nasz jedyny dziennik *Kronika*, jest tak błahe, tak przenicowane w duchu i sposobie widzenia pierwszego ministra, że nawet żadnych rozpraw nieobudza; zbija też niema komu, bo jeden tylko organ istnieje, a żadna opozycja nieśmie głowy podnieść choćby nawet z pokorą baranka.

— Coż robią reprezentanci narodu, posłowie, sejm?

— Alcydowe ich prace! najprzód, zjechawszy się, oddają sobie wizyty, prezentują się u dworu, otwierają sejm i zamykają; — potem przez kilka tygodni trwają balety, herbaty, wycieczki na wieś, polowania; same tylko rozprawy parlamentowe najprędzej się kończą: po odczytaniu rządowych postulatów następuje jednogłośnie *zgoda*! jednogłośnie powtarzam, odkąd kilku panów *Niepozwałam* zamknęto do wieży.

— Kubek w kubek po austriacku.

— Dzięki bogu! u nas wszystko dobrze się przyjmuje: i tureckie, i francuskie, i austriackie i amerykańskie systemata, prócz swego własnego. Otoż i *Kronika*, przekonacie się najlepiej sami.

I świeży numer *Kroniki*, który z ręk do ręk przechodził, dostał się do mnie. Czytam.

«Wiadomość urzędowa:

«Najjaśniejszy Pan przebył dzisiejszą noc spokojnie, nad rankiem dostał tylko czkawki, która jednakże, dzięki

staraniom nadwornych lekarzy, przeminęła szczęśliwie.»

— Wcale nie ciekawe doniesienie!

«Okolo godziny pierwszej Najjaśniejszy Pan dawał w sypialni swojej audyencyę, w czasie której sprowadzony z Sybiru 150letni starzec został przypuszczony do oglądania oblicza królewskiego.»

«Pamięta on doskonale ową nieszczęśliwą epokę powstania 1830 roku, był nawet współuczestnikiem onęj, lecz nikt z dostojnych osób nie miał chęci wypytywać go o te czasy napiętnowane szaleństwem narodu dążącego do anarchii, z której go wyrwała dłoń wielkiego wskrzesiciela. — Najlepszy dowód, jak systemat naszego rządu obudza najgorętszą sympatyę między najoddalniejszymi ludami, mamy w pomienionym starcu; podniesiony na godność szamana czyli księżęcą i kapłańską w pewnej hordzie Ostyaków, na odgłos naszej konstytucji i błogosławionych rządów, mimo tak podeszłego wieku porzuca swoją godność, swoich poddanych, swoje bogactwa, i puszcza się przez śniegi i niebezpieczeństwa dalekiej drogi, aby tylko przed śmiercią oglądał swego monarchę i przyjął szlachecką akoladę. Starzec ów dziś jeszcze jest *ostatnim chłopem w Lechii*, jutro już nim niebędzie. Wykrzykuj tryumf szczęśliwy ludu! nad wszystkimi narodami Europy, ty jeden tylko pojąłeś zasadę równości!»

— Otóż na złość zostanę czem jestem! zawolałem, ciskając gazetę, pełen oburzenia. Co? ja szlachcicem?! ja stary demokratą, com ludem rządził jak ojciec nie pan! Szlachcicem! kiedy jakby przekleństwo boskie czepia się każdego, co się przechrzcił tym mianem...

— Uspokój się staruszkę! teraz już późno, dzień jutrzejszy da może lepsze myśli; odprowadzę cię do mieszkania.

— Ależ to gwałt niesłychany! mnie robić szlachcicem, mnie piętnować?!

— Będę szukał sposobu oswobodzenia cię między moimi; pieniądze dziś więcej mogą niż kiedy; a nasi lichwiarze nie oszczędzą kosztu, skoro im powiem: kto jesteś.

— Nierozumiem, ale widzę, że masz dobre chęci dla mnie; zacny mój młodzieńcze; niechże cię uściskam.

Co uczyniwszy z całém wylaniem serca, zapytałem wchodząc do swego mieszkania.

— Teraz mi powiedz kto jesteś? kto jesteś, coś uszedł tej dżumy zepsucia i upadku?

— Do tylu niespodziewanych rzeczy, jakie widziałeś, odrzekł zagadniony, zdziwienie to będzie dopełnieniem. Nazywam się Moszko, Izraelita!...

— Młodzieńcze, nienajgrawaj się z białych włosów! Jako, ty bylebyś potomkiem tej zgrai szpiegów, którąś na każdej gałęzi wieszali?

— Niestety! Lud ten bez ojczyzny żyje tylko interesem, wyście nieumieli w nim wzbudzić żadnego, — był więc zdrajcą.

— A dziśże wam lepiej?

— Wszystko jedno; tylko wtenczas górowaliście nad nami moralnym usposobieniem i publicznymi cnoty; dziś, kiedy u was ani cnót ani moralności — ino znikczemnienie, my się podnieśli, jako jedyna protestacja raz rzuconej myśli.

Po tych wyrazach mój przewodnik oddalił się, a ja półnieżywy padłem na łóżko. Po dziennych trudach, walkach wewnętrznych, bolesnych rozmyślaniach, sen prędko skleił powiekę; zdawało mi się, że znowu byłem wolny, otoczony wierną drużyną, wprawdzie wśród lodów sybirskich, lecz z niezaputym urokiem mojej Polski wolnej i szczęśliwej. — Byłbym przespał tak całe wieki; ale, oto dzienny blask olsnął izbę. Ktoś puka, wchodzi... O boże! zbiry!...

— Wstawaj chłopie! ubieraj się — przyszedłszy po ciebie, będziesz szlachcicem.

— Chyba trupem mię weźmiecie! krzyknąłem, porywając za krucicę. Żyłem i umrę pocziwym chłopem.

— To demokratą!!! wrzasli tak przeraźliwie, jakby sam na sam spotkali się ze stadem wilków. — Brać i wiązać!

I rzucili się na mnie, dusili piersi, wiązali nogi i ręce.

Gdy wtém, wśród tego szamotania się, uczułem elektryczne wstrząśnienie, i ujrzałem, innemi zapewne zmysłami, staroego Pszonkę, który, widząc moje przez sen grymasy i pasowanie się, przebudził mię wstrząsnawszy za ramiona.

— Niechże szlachectwa! lepiej śmierć niż takie szlachectwo! wołałem już na jawie.

—Chciej czy niechciej! mnie wszystko jedno, odpowiesz Pszonka z największą flegmą, ale podnoś się i dawaj obiecany artykuł.

—Artykuł?! artykuł?! — zacząłem, dokończę — ale!...

—Widzę jesteś ambarasowany?

—Oto przyznam ci się Pszonciu, żem ani umaczał pióra; wczoraj spotkało się z koleżkami, i jakto wiesz.....

—Przywodziś mi do rozpacz!...

—Uspokój się; bóg mi z kłopotu wybawił, zesał sen; widziałem królestwo na konstytucji trzeciego-maja urządzone; tylko przepisać...

—Polegam na tobie jak na Zawiszy.

ODSTĘPCA.

FANTAZJA MAURYCEGO GOSŁAWSKIEGO.

(WYJĄTEK).

.....
 Piękne rączki dla kochanków
 Tysiącami wily wianków;
 Wszystkie z mirtu, z róż i lauru.
 A szaleniec, chcąc przynieść rozrywkę kochance,
 Chwycił za miecz i za lancę;
 A gorejąca zagłada,
 Na krwawych skrzydłach wielkiej nocy listopada,
 Spłynęła na pola Grochowa i Wawru.
 Z wielkiej myśli wielka siła
 Jak nowy świat się stworzyła,
 Orzeł groźnym meteorom
 Ulatywał przodem szyków,
 Pieśni ludów wielkim chórem
 Brzmiały polskiej części śpiew,
 A śladami bohaterów
 Od Wawelu do Sybirów
 Upływała krew.

Dwa ludy się bawili; ten włączał okowy,
 Tamten zrzucał, a gradem sypały się głowy.
 I na taką rozrywkę patrzył świat jałowy
 W trwodze i zadumieniu;
 On chciał z pod polskiego cięcia
 Wyjść czystszy, poprawniejszy, niżli po stworzeniu
 Wypłynął z twórey objęcia.
 Lecz bóg drwiąco się uśmiechnął,
 Wstyd mu było tej poprawy,
 I odrodzenia podstawy
 Skrzyżował i zwichnął.

A krew ofiar i wielkie zmartwychwstania dzieło,
 W niezgłębiony grób Warszawy,
 Wyżej niżli z nieb runęło.

Otóż i po zabawie jakby nic niebyło.
 Śniło się coś na chwilę, lecz się już prześniło.
 A dźwięk kajdan, co na chwilę
 Ucił był za owych dni,
 Znow tak wdzięcznie, znow tak mile,
 Znaną sercom nutą brzmi.
 Tylko mała garść szaleńców,
 Co niewiedzieć czego chcą,
 Oblakanych potępińców,
 Co niemają stracić co
 Oprócz siebie, w świat odłogi,
 Bóg wie, po co! na co! gdzie?
 Poszli przez rozstajne drogi
 Potępione pędzić dnie.
 Śmieszni! każdy dumnie głosi,
 Że w swych piersiach kraj unosi,
 Że ta jego pierś i głowa
 Jestto arka narodowa,
 Której ziemia winna cześć;
 A dziś tę tulącza głowę,
 Te świętości narodowe,
 Nagie przez świat musi nieść.

Górne cele! cześć wam! cześć!
 Nudni ludzie! po co zmian?
 Tak wygodnie jarzmo nieść,

Taki dobry dał je pan!
 A choć szyja na obróży,
 Choć się łańcuch w szyję wpoi,
 Nim się knut dopyta duszy,
 Tymczasem się ciało zgoi.
 Byle było pić i jeść,
 Każde jarzmo można znieść.
 A komu swój w niesmak chleb,
 Niechaj szuka cudzych nieb.

Oni poszli nieszczęśli! los ich pognął ślepy
 Na morza nieznajome, na bezludne stepy.
 Bezsilnemu równe ziółku,
 Pod cudzemi płotami bohatyrskie głowy!
 Bez schronienia, bez przytulku,
 A na wolnych ich rękach i nogach okowy;
 I na każdym światła kresie
 Obaczysz gdzieś pierś tułaczą.
 Nieszczęśliwi! oni płaczą
 Za tą ziemią rodzinną, której niezobaczą,
 Gdzie żaden kruk ich kości nigdy niezaniecie!
 Płaczą, a ich łzom gorzkim ni ulgi, ni końca!
 Jedna ulga, górne: trwaj!!!
 I każdy z tych szaleńców jest Polski obrońcą!
 I każdy kocha swój kraj!
 Ale tylko nie tak modnie,
 Romansowo i wygodnie,
 Jak rozliczni wielbiciele,
 Co kochali także go!
 Chorągiewki na kościele!
 Jak wiatr wionął, tak się gną.
 I dziś ci na zawołanie
 Dwa puhary spełni synek:
 —Niechaj żyje zmartwychwstanie!
 Albo: — wieczny odpoczynek!

Twoja myśl potępienie nad ojczyzną tkwi,
 Nad tą ziemią kochaną twoich łez i krwi.
 Po bezlistnych pustyniach każdy wiatru szum
 Brzmi ci nutą rodzinną znanych sercu dum.
 Błędna gwiazdka na niebie tém ci światłem drży,
 Jak niegdyś w oku lubej drżała kropla łzy,
 Gdy placząc cię na krwawy wysyłała bój,
 Gdyś zegnał raz ostatni stracony raj twój,
 Gdy jasną chorągiewkę zlaną łzami jęj
 Przywiązałeś do lancy, a do duszy twęj
 Przywiązałeś jęj obraz: co jak gwiazdka czei
 W bojach i na męczeństwie przewodniczył ci.

Męczenniku! na wygnaniu
 Do dziś płaczesz, ową łzą,
 Jakaś płakał przy rozstaniu,
 Z krajem twym, i z lubą twą!
 Utl tę pierś rozdartą! daj pokój tej łzie!
 Tam cię ni kraj, ni rodzina,
 Ni luba już niewspomina,
 Jakby nigdy na świecie niebywało cię.

I z tém sercem, z tą duszą, jaką tęsknisz tam,
 Gdybyś dziś tu zleciał sam,
 Świat twęj myśli, coś go zegnał,
 Co dziś żyje w twojej łzie,
 Jak upiora przeszłości krzyżemby przeznętał,
 I jednymby uśmiechem okamieniał cię.

O! pozostań lepiej tam,
 Wszakże tutaj byłbyś sam!
 A step pusty jak pierś twa
 Prędzej sercu ulgę da.
 Rok w rok w stepach tam odłogich
 Wędrujący klucz żurawi
 Z Polski twojej, gości drogich,
 Niezawodnie ci się zjawi.

A widok ukochanych spojrzeniem niechętnym,
 Zimnym słówkiem, uśmiechem, sercem obojętnym,
 Pewno serca niezakrwawi.

A z temi żurawiami tak miło czas płynie
 Na samotnej pogadance,
 O Polsce nieszczęśliwej, o drogiej rodzinie,
 I droższej od niej kochance.
 I tak dwa razy corocznie
 To odbierzesz, to dasz wieści;
 I dwa razy myśl twa spocznie
 W kraju twojej radości i twojej boleści.
 I zawsze ci klucz żurawi
 Miłą sercu wieść objawi,

Ze ród twój i Polska cała
Wraz z wyściem cię zapomniała,
A luba dobrze się bawi!!!
Nietroszcz się o jej zdrowie, zdrowa i wesola!
Widziały ją żurawie: wracała z kościoła,
Gdzie u stopni ołtarza, wieczystymi śluby,
Dłoń i serce twój lubej inny zajął luby.
A twoi przyjaciele, co družbami byli,
Za zdrowie nowożeńców trzy dni z rzędu pili.

.....
MŁODZIAN. Jakżeż mię dręczysz boleśnie!
MĄŻ. Ja? ciebie? przepraszam! niechcący!
Słuchaj! ja cię znam,
Tyś Zdzisław!

MŁODZIAN. Tak.

MĄŻ. Więc ten sam.
Czekaj! ja cię pocieszę; tyś chciał z Polski wieści!
Ważne rzeczy! i bardzo zajmującej treści.
Tam ciebie wspominają, bardzo wiele osób;
Ci czule, ci poważnie, każdy na swój sposób.
Byłem świadkiem tylekroć, a na jednym balu,
Pomnę, byleś przedmiotem ogólnego żalu.
Był to bal chrześcijański, gdzie podług zwyczaju
Grano w karty, tańczono, radzono o kraju,
I jakby w dzień zaduszny grzmiał puhar godowy —
—Kaznodzieja radości: —Cześć polskiej odwagi!
Cześć tych, co pod Warszawą położyli głowy!
I wieczny odpoczynek męczennikom Pragi!
Mówiono o bohaterach,
Co polegli, co zostali,
I o tych, co wśród obcych oczy wyplakali,
I o tych, co ofiarą jęcza po Sybirach!
Wesołe exekwije! pobożna zabawa!
Nakryto stolik, wesła herbata i kawa,
A z nią dalszy ciąg wspomnień, to klęsk, to nadziei.
I niepomnę, ktoś z kolei
Przypominał Zdzisława.

—Zdzisław!!! z żalobnym wszyscy powtórzyli szmerem,
I tyś jeden rozmowy został bohaterem,
—Ach! jak on pięknie tańczył! powtórzyły panie,
Jak śpiewał, a jak mile grał na fortepianie!
—Czy pan nieznał Zdzisława?... Z pięknymi oczyma
Z cichszym nieco westchnieniem zapytała Lima.
Biedny!!! —Czy zginął w boju?... —Nie! ale zapewna
Gdzieś tuła się wygnaniec!... —Czyś pani mu krewna?
Czy tak dobra znajomość?... —Nie! odpowiedziała,
I spojrzała na pierścion zrumieniona cała.
Pojąłem tajemnicę. Wtém na drugiej sali
Przypadkiem, czy umyślnie, mazura zagrali.

MŁODZIAN. Jakiż koniec tych dziejów?

MĄŻ. O! bardzo ciekawy!
To było na początku, a w końcu zabawy,
Ten zakład sercu lubej drogi bez wątpienia
Był już na mojej ręce. O! tego pierścienia
Niekupilibyś ode mnie i kosztem zbawienia.
Oddając mi go, rzekła: Tę pamiątkę drogą,
Co mi zawsze była miła,
Panu tylko dać mogę, więcej dla nikogo
Tegobym nie zrobiła.

MŁODZIAN. Niewdzięczna!

MĄŻ. I owszem, pamięta
Pamięcią uroczystą od wielkiego święta.

MŁODZIAN. Bezbożny! Tyś mi wydarł tę własność jedyną,
Którąm uniosł z ojczyzny, te słodkie złudzenia,
Tę wiargę, tę pociechę.

MĄŻ. Szkoda bez wątpienia!

O cóż jeszcze spytasz tam?...
Ja tam wiele osób znam,

Znam całą twą rodzinę. Starsza siostra miała
Właśnie przed mým odjazdem wyjść za generała.
Tatar rodem, lecz wcale nieznac w nim Tatara,
Bo dostał tytuł grafa za szturm przy Warszawie.
A o młodszą kozacki pułkownik się stara;

Rzecz skończona prawie!

Rosną domu zaszczyty i blask się podwaja,
Ojciec dostał przed śmiercią krzyż od Mikołaja,
Brat Karol, jak słyszałem tyle drogi ci,
Niemógł służyć krajowi, a przyczyna ta,
Ze pleć delikatną ma;

A kraj niema prawa żądać poświęcenia pści.

Jednak dla zwyczaju

Emigrował z kraju

Na drugą stronę Zbrucza, ale z końcem wojny
Powrócił z Galicyi i jest już spokojny.
Wrócił, gdy ojciec był na śmiertelnym łożu;
Tkliwy ojciec na życia i śmierci rozdrożu
Uległ głosowi serca i twojemu bratu.

Brat posiadał w całości

Wielkie rodu zaszczyty i rozległe włości

Prawem majoratu;

A ty, żeś się w spisie buntowników liczył,
Ojciec cię i z imienia i z praw wydziedziczył.

BARASZKI.

Mówią, że między Turkiem a Egipcjaninem przyjść może
do wojny. Arystokracja polska, coto z każdego zdarzenia
korzystałaby rada, posłała sultanowi Chrzanowskiego, a ba-
szy gotuje się wyprawić Skrzyneckiego. Krok arcy dyploma-
tyczny, na wzór Zamojskiego, coto sam pojechał do Peters-
burga a synom pułki rewolucyjne sztyftować kazal. Wygra
Turek: To nasz Chrzanowski pobił Ibrahima; cześć Chrz-
anowskiemu! Wygra Egipcjanin: To nasz Skrzynecki pobił
zastępy sultana; niech żyje bohater Skrzynecki!...

—Dziwna rzecz zwiastują dzienniki. Zwierzęta-konie zro-
biły rewolucję w Rossyi, i byłaby się im pewnie udała, gdyby
zwierzęta-ludzie przeciw koniom niebyły wystąpiły. Rzecz
się tak miała. Jechał car, caryca i caratka w jednym powozie
do Pawłowska; wtém rozhuwały się konie, pędziły wiatrem,
i chwila tylko, a świat byłby się pozbył kilku obydnych po-
tworów. Lecz oto sześć sztuk oficerów wyskakuje skądś na-
raz, rzucają się na konie i zatrzymują je w biegu. Car ocalo-
ny, a oficerzy obyspane orderami, tytułami, rublami. Utrzy-
mują wszakże niektórzy, że bytło komedijka odegrana z roz-
kazu samego cara.

—Korsarz francuzki pisze, że apolog Lafontena: *Osiot, pan
jego i szarlatan*, przesłał być bajką od czasu, jak uniwersy-
tet oxfordski pasował carewiczka moskiewskiego na dostoj-
ność doktora.

—Pewien hrabia urodzony w Polsce, gdzie, jak świadczą her-
barze, długo hrabiów niebyło, przyszedł po kilkoletnim poby-
cie we Francyi do ważnego w chemii przemysłowej odkrycia.
Dowodzi on, że galwanizm jak chroni od rdzy i zepsucia
zynk i żelazo, tak niszczy i pożera złoto i srebro. Próby na
dwóch pierwszych metalach były nieliczne i dotąd wątpliwe;
na dwóch drugich przeciwnie tak rzęsiste i dokładne, że
w przeciągu kilku miesięcy znikło z pod galwanizowanych
ryglów przeszło kilkakroć sto tysięcy franków. Francuzi, któ-
rych ten wypadek zbliża obchodzi, nazywają hrabiego figla-
rzem. Panowie nasi, chociaż srodze podcięci, widzą w nim
niepospolitego chemika i finansiste. Pierwsi grożą mu kode-
xem karnym, drudzy zbierają składkę dla zakupuienia sekre-
tu... nieznanego dotąd w dziejach przemysłowości polskiej.

—P. Karol z Kalinówki, alias Sienkiewicz, w książce pod ty-
tułem: *SKARBIEC*, wydaje materyały do dziejów polskich. Z pier-
wszego tomu dowiaduje się czytelnik, że Pozzo-di-Borgo mó-
wił Alexandrowi: — *Po co odbudowywać Polskę?... Po co
dawać konstytucję?... Po co sztyftować wojsko?... a SKARBIEC*
wydrukował te wszystkie zapytania Pozzo?

—Nie wszystkim może wiadomo, że *Towarzystwo literackie*
sporządziło wielką *Księgę-pamięci*, w której zapisuje wierszem
i prozą wszelkie fakta mające jakikolwiek związek z losem
emigracyi. Aby dać wyobrażenie, w jakim stylu i jakie wy-
padki czytać będzie potomność w owęj księdze, przytaczamy
następującą inskrypcję świeżego nieszczęścia na dworze kró-
la babińskiego:

Placzie małe amorki, placzie alcyony!

Nos najbujniej wyrosły, najpiękniej zgarbiony,

Skacząc do wody, która brudny Paryż pierze,

Książatko ułamało na swym guwernerze.

I ta ozdoba niegdyś prześliczna oblicza,

Na pamiątkę złożona w skarbcu Sienkiewicza.

Jeden z redaktorów powyższej księgi chciał, aby wyraźniej
powiedziano, że nie książatko na guwernerze, ale guwerner-
rowi nos ułamało; dla piszących bowiem później historię,
może być wątpliwość, czyj się nos złamał, książatka czy gu-
wenera?... ale odpowiedziano, że *superlativus* zaradzi wszy-
stkiemu, gdyż jeden tylko może być w emigracyi *nos najpię-
kniejszy*, a potomność, która z *Księgi-pamięci* najmnij sze-
szczegóły o emigracyi wiedzieć będzie, niewpadnie w żadną
wątpliwość.

—Co za oziębłość? *Romans Kirdżali*, tak pięknie, tak wier-

nie przez Polaków na francuzki język przełożony, nieznalazł dotąd we Francji czterech czytelników! A jednak tam tyle świeżych scen, tyle oryginalnych pomysłów? A jednak w tłumaczeniu konie jenijskiego Czajkowskiego siedzą sobie w powozie, a powóz gładko i równo się toczy po kolei *nieczego*. I można jeszcze wierzyć w sympatyę Francuzów?...

— Czajkowski zrobił! — Co? — Szkołę, jak się wyrażają Francuzi, a z tej szkoły wyszło już dzieło pod tytułem: *Moje wspomnienia*, gdzie autor jaś. wiel. poseł i żołnierz (Jelowicki Alexander) wiernie naśladować swego mistrza, pisze: »Uderzył — oczy mu się iskrzą — usta pienia — schylił się — skoczył — już po wrogu — wykopali mogiłę — rzucili ziemią — trup spi — twarz jego groźna — oczy wytrzeszczył — ale trup już niewidzi — już niesłyszysz. (Szczególne odkrycie! Co to jednak może jenijsz?!...) Lubię ten styl! woła Redaktor *Tygodnika-Poznańskiego*, podziwiam ten styl!... bo to tak właśnie jakbym jeździł po bruku dryndulka bez resorów (końmi jenijskiego Czajkowskiego). Tento styl musiał się objawić Kamińskiemu, gdy we swoich sonetach pisał:

Okropny powóz jeździ w mojej duszy,
Turkoce strasznie.

Okropny, czy nieokropny, mniejsza oto! Arystokracja emigrancka cieszy się, że w braku lepszego znalazła choć taki na swoje usługi.

— Pismo Polak gniewa się na *Demokratę polskiego*, że w polemice przeciw *Zjednoczeniu* używa płaskich zarzutów. I słusznie! bo poco *płaskie* przywozić zurzuty, kiedy tyle jest grubych?

— Ktoś twierdził, że *Zjednoczenie* nie jest loiczne. Ale jest ortograficzne, przerwano z boku, bo się składa z -(łączników czyli jednoczycieli) i z » (cudzysłówów czyli członków bez własnego zdania), a w całości jest? (znakiem zapytania czyli niewiadomo czém).

— Niedawno w jednym z zakładów naszych zjawił się Żyd polski. Żeby i dobrze i godnie przyjąć gościa-izraelitę, zaprowadzono go na tak zwane *ogólne zgromadzenie zakładu*. Rozprawiano o *Zjednoczeniu*, i było wiele hałasu i wrzasku. Zapytany Żyd, czy mu się sejm emigracyjny podoba? Ny!.. czemuś się niemiął podobać, kiedy tak do żydowskiego nabożeństwa podobny; ja sobie myślał, że jestem w żydowskiej szkole.

Traf zdarzył, że w parę dni potem przyciągnął do zakładu *komiwojażer Zjednoczenia*. Z przeproszeniem wielmożnych państwa, spytał Żyd, coto znaczy *komiwojażer*? — To samo, co u nas *faktor*, odpowiedziano. Żyd pokręcił głową, poglądził brodę, i zamyslił się głęboko. Spytany coby myślał? — Ny!... ja myślę sobie, co nasze biedne Żydki robić będą, jak te *komiwojażery* do Polski wrócą?...

KORESPONDENCA TELEGRAFICZNA

1. Maryja.

PSZONKARZE!

Rzecz jest i piękna, i chwalebna, i pożyteczna, pisać o tém, co emigracja robi, co myśli robić, coby zrobiła gdyby nie była emigracją, co wreszcie już zrobiła, i na jakim lożu z laurów spoczywa, paląc fajkę. Bo trzeba dodać, że emigracja cała pali fajkę, a pewna część z niej od jakiegoś czasu zapala ją numerami Pszonki, przez zemstę, dla lepszego smaku. Oj! bo téżto bardzo miła rzecz palić swę nieprzyjaciół! Dziś niektórzy palą pisma Pszonki, a tajemnie wzdychają, i szła modły gorące, aby przyszedł czas, w którymby i sami Pszonka smołą oblany, i postawiony za pochodnię, trzaskał jak gałąz wilgotna przed gankiem konstytucyjnego króla babińskiego. Nieboszczyk Neron wymyślił ten rodzaj rewerberów, który zapewne i przez króla babińskiego przyjętym zostanie. Mówią jednak, że wy Pszonkarze niedoczekacie się tych szczęśliwych czasów, że wasz koniec niedaleki. Nawarzyliście sobie piwa; nosił wilk owce, ponieśli i wilka. Bo niedość, że *Młoda-Polska*, owo naczynie dziwnego nabożeństwa, ekskomunikowała was jako opętanych, ale oto i *Towarzystwo-literackie*, owo konserwatorium inkunabulów rewolucyjnego umiarkowania i mądrości, walny zrobiło zamach na wasze życie. Niebędzie zaś to ani machina piekielna, ani styklet, ani trucizna, ale gorsze nad to wszystko — artykuł *Towarzystwa-literackiego*. Ten pęk piorunów już jest w objęciach *Kroniki*, już się drukuje. A ile kosztował towarzystwa mozółu, ba, nawet pieniędzy, dowiedzieć się z następnego protokołu sesji *Towarzystwa*, który wam w odpisie wierzytelny przesyłam:

Wyciąg z protokołu *Towarzystwa-literackiego-babińskiego*:
«A najprzód z polecenia Towarzystwa zapisano do *Księgi-*

pamięci, iż w towarzystwie tém objawiły się symptomata nie spodziewanego dowcipu, z okazji obioru carewiczka Alexandra na członka akademii, oxfordskiej, o którym pewien jowialny członek powiedział: iż obrany został *doktorem prawa człowieka z kraju, w którym niema prawa*. Na ten pelen atycykiej soli kalambur całe towarzystwo poważnym zakrzutisło się śmiechem. Owóż z powyższego trafu urosł następujący dodatkowy artykuł do praw organicznych, niemniej dowcipnej treści: — Ponieważ zdarzyć się może i nadal wypadek dowcipnego wysoku w towarzystwie, ustanawia się zatem od każdej podobnej myśli opłata po jednym *sous*, przez wszystkich członków składana, nie na rzecz redaktora dowcipu, ale na zysk kasy towarzystwa wypróżnionej przez dotychczasowe nie dowcipne lecz dyplomatyczne usiłowania, któryto artykuł dodatkowy jednomyślnie, mniej jedną kreską p. Antoniego Goreckiego, przyjęty został. Albowiem ów bajkokleta, nie tylko że położył swoje *velo*, ale nadto z towarzystwa wystąpił, dając dwie przyczyny — raz: że dowcip powinien się tylko ukrywać w bajce pod postacią osła lub cielecia, i powtóre: że przy rosnącej coraz manii dowcipowania w towarzystwie, podobna *expens* przyprawiłaby o ruinę, i tak już zrujnowanego człowieka.»

«Pożno przybyły, więc niewiedzący o powyższem prawie kolega (Oleszczyński rytownik) a niegdyś wydawca Pszonki, owegoto Pszonki, co jeszcze w pierwszym roku emigracji w dwóch numerach był wyszedł; ten Pszonka prawdziwy i sam tylko Pszonką będący, przeczytał gniewny i zabójczy na pseudonima a terazniejszego Pszonkę artykuł, a towarzystwo dostrzegło w nim rzeczy arcy-dowcipne, wyciągające, podług świeżo przyjętego prawa, surowej od członków opłaty, która też zaraz złożoną została w ilości 32 *sous*, bez żadnej frakcyi. Autor artykułu oświadczył, iż gdyby był wiedział o nowem prawie, byłby nakładł więcej rzeczy dowcipnych, i już sięgał ręką po susy, ale szanowny prezes przestrzegł, że stosownie do zapadłego prawa susy są własnością kasy towarzystwa, większa zaś dozys dowcipu nie zgadzały się z redakcją *Kroniki*, która ma styl ciężki, i wymagający wielkiej w dowcipie ekonomii. Pszonka prawdziwy, autor rzeczzonego artykułu, zwrócił uwagę towarzystwa na jeden frazes swojego pisma, który mniemał być głównie dowcipnym a broniącym silnie arystokracji, a który mówi: że arystokratami niesz ci, których nazywają arystokratami, ale ci, którzy się nazywają arystokratami a są demokratami. Nad któryto frazesem zastanowiwszy się towarzystwo, dostrzegło w nim sens ukryty głęboko, i przyznało autorowi wielką precyzję w redakcyi. Na poparcie tej decyzji towarzystwa jeden z członków przytoczył podobne wyrażenie się Grodka, sławnego niegdyś profesora akademii wileńskiej, który z niemiecka tłumacząc się po polsku, gdy mu chodziło o wykazanie uczniom, że Plautus w komedyi swojej mówi o świni nie zaś o wieprzu, dał podobną definicyę macyory: Nie jestto ten szwiń, coto szwiń, ale ten szwiń, coto ma szwiń; a uczniowie zaraz pojęli, że mowił o matce prosiat... Nastąpiła deliberacya czyli to zbliżenie dwóch powyższych frazesów ma uleść nowej susowej opłacie? ale powszechne było zdanie, że towarzystwo już się nad możność swoją wyexpensowało. Po skończeniu tej dyskusyi posiedzenie zamknięte i odroczone do jesieni.»

Tak więc *Towarzystwo-literackie* rzuciwszy na Pszonkę pioruny samo się na trzy miesiące zawiesiło — dla wytchnienia. Członkowie jego, a trzeba wiedzieć, że wszyscy są bardzo sentymentalni, jedni na dębach lasu S. Germain karbują cyfry, jak Erminija Tassa, co na drzewiach wycinała

śladkie abiecadla,

A te czytając wzdychała i bladła;

inni w pasterskich kapeluszach, z huletami w rękę, zapuszczają się w głębie lasów, i pograżają się w tajemniczych dumaniach, lub uganiają się za pierzechliwymi motylkami; a kiedy te umkną przed ich dłonią, stają zadumieni, i mówią: O bogdajbyto tylko nie była smutna przepowiednia, że tak i Pszonka nieda się nam schwytać!!!

Braterskie służby,

PSZONKA NADAL RAZ NA MIESIĄC BĘDZIE WYCHODZIŁ. DLA CZEGO? BO PSZONKA-EMIGRANT DO FRANCUSKICH PRAW O DZIENNIKARSTWIE W TEN TYLKO SPOSÓB ZASTOSOWAĆ SIĘ MOŻE; NIKT WSZAKŻE STĄD ŻADNĄ NIEPONIESIE STRATY, BO PSZONKA NADAL NIE W PÓLARUSZACH JAK DOTĄD, ALE W ARKUSZACH WYCHODZIĆ BĘDZIE.